

Diament, który włożysz mi w pępek

Tomasz Ososiński, autor zbioru *Pięć bajek*, który rzeczonych bajek zawiera znacznie więcej, imponuje w notce informacjami o naukowej pracy u podstaw (konkretnie – przekładami niemieckich listów Dantyszka), ale jego poezja jest raczej z prozatorskich drobiazgów Herberta.

Ososiński z całkiem dobrym skutkiem uczył się z nich chłodu i pozornie neutralnej narracji, od siebie dodając zamiłowanie do tajemniczości i szyfru (*Są tylko trzy nauki. A do każdej z nich inny rodzaj książek, inny rodzaj pisma i atramentu*). Za sprawą tych właściwości książka jest bardzo (nazbyt?) jednolita, więc zamiast ją omawiać, zacytuję tu najdłuższą i najbardziej conceptualną z bajek. *Chociaż chory jest w stanie krytycznym – wioząca go karetka nie porusza się. Umieszczona na dachu czerwona lampa płonie równym światłem. / Jedyne, co można zrobić, to odizolować go, zamknąć w środku! Ubrani w białe ornaty sanitariusze co jakiś czas sprawdzają, czy chory wciąż jeszcze żyje: otwierają oznaczone krzyżem drzwiczki, wyciągają go z karetki i gryzą w piętę*. Utwór ten nosi tytuł *Chory*. Gdyby ktoś z czytelników tej rubryki miał kaprys, aby stworzyć antologię prozy poetyckiej, wówczas polecam ten utwór jego/jej uwadze.

Tytuł książki **Leszka Żulińskiego** – *Tota mea* – brutalnie złapał mnie w kleszcze łacińskiej homonimii. Początkowo myślałem, że to jakieś „wszystko, co moje”, jakiś wybór najostateczniejszy (po głowie kołatała mi się wówczas sentencja *omnia mea mecum porto*, jak również pamięć o żeńskim rodzaju rzeczownika *poema*). Tymczasem *tota mea* to po prostu „cała moja”, a większość wierszy odwołuje się do tej samej sytuacji lirycznej – malowania kobiecego aktu. Powiem od razu, że ta monotematyczność nie przekonuje, nawet jeżeli autor jest w stanie wymyślić dużo wariacji na temat (np. *nie, nie mogę pracować. chodzisz po pokoju nago, / patrzę, jak sutki wyznaczają azymut tych przemarszów/ jak kołyszysz biodrami, a żarna posładków miela/ odległość między nami*).

Za sporą część tej zmienności odpowiada wymienianie nazw kolejnych technik – akwareli, gwaszu, sztychu (czyli stalorytu) – i rozważania o sztuce, których jest za dużo, ale wśród których znajduje się choćby następujące zdanie: *kiedy malowa-*

łem ciało, wychodziła mi z tego marwa/ natura. Ten motyw przynajmniej, jak mawiał dziadek, „siedzi”, to znaczy wpasowuje się w całość obrazu. Gorzej pod tym względem jest z cytatami literackimi, których przegłoszenie obrazu – następujący fragment: *a ja już siedzę przy tobie jak Zygmunt przy Barbarze/ i pytam Anhellego, dlaczego Ellenai ze snu się nie budzi. / najcięższy brokat opada z ich ciał i nagie*

wchodzą/ w płomień jak Fela Vogelbaum (dla porządku zaznaczmy, że brokat jest z Grochowiaka, a książka go sumiennie wyróżnia kursywą). Ostatecznie jednak największym problemem książki jest ograniczenie możliwości, jakie zawarte są w początkowej sytuacji. On może co najwyżej malować, snuć refleksje i się kochać, ona – kochać się, zaparzać kawę i chodzić (raz, jak już cytowałem, nago, kiedy indziej w czerwonych szpilkach). Myślenie z punktu widzenia formy prowadzi tu do tych samych wniosków, co myślenie oparte na ideologii feministycznej – wiersze z wmontowanym w nie głosem żeńskim, rozgrywające napięcie między atelier a przestrzenią poza nim, byłoby po prostu ciekawskie. Tymczasem rolę głosu żeńskiego spełniają grafiki Teresy Babińskiej, specjalistki od „technik metalowych”, to jest między innymi od wspomnianego wcześniej sztychu. Nawiązują one do mitologicznych rysunków Picassa, emanują erotyzmem, a figurze malarza nasadzają na kark czarną głowę byka.

Kobiecej odpowiedzi na *Tota mea* można się także doszukiwać w wydawnym przez to samo wydawnictwo *Korzeniu werbeny* **Teresy Rudowicz**. Jeden z wierszy rozpoczyna ona linią *teraz moja kolej naciągnąć płótno na blejtram* (dalej następuje deklaracja, dość osobliwa z technicznego punktu widzenia, że na tym płótnie wykonany zostanie kolaż). Co więcej, otwierający tomik cykl *Godziny* charakteryzuje się tym, że wszystkie wiersze rozpoczęte zostają cytatami z Żulińskiego właśnie. Opowiadają one historię miłosną, której bohaterami są Faust i Małgorzata (gdy się spotkają, *w jednej chwili on oszuka starość/ ona - grawitację*). Ta historia ma przynosić inspirację (*brak – poeto – tu idzie o brak/ z niego rodzą się słowa/ on wyznacza rytm długość wiersu/ tęsknotę*), choć niekoniecznie bezwarunkowe szczęście.

Teresa Rudowicz ma w sobie coś z kolekcjonerki. Po *Godzinach* pojawiają się jeszcze *Miesiące* (wśród nich skazony literówką październik) oraz *Kamienie* (wśród nich, nie wiedzieć czemu, organiczna *Perta*). Drugi cykl zasadniczo powtarza tematykę pierwszego – znów mamy Fausta i Małgorzatę i miłość – trzeci wprowadza dodatkowo motywy żydowskie (*nazwij mnie Chawą - sklepikarką ze Złotej lub Esterą - fryzjerką z Próżnej*). Wprowadza on też jedną efektowną semantyczną katastrofę: *nie mu-*

szę (...) *mamrotać zakłęb sypać do ogniska/ ziół wielorakich i kręgowców z kamieni*. Nie wiem, doprawdy nie wiem, jak do ogniska kręgi z kamieni sypać, dlatego kończę.

Przejdźmy do czegoś mniej przesłodzonego. **Michał Kaczyński** wydał książkę, która nosi tytuł *Szczęśliwice*, a także - by z tytułu należycie skorzystać - jest smutna. Nastrój jej definiuje *czerń gestu/ najwęższej jakości/ prosto z głowy pewnej nastolatki/ jadącej właśnie pociągami/ z Warszawy do Wrocławia*. Na szczęście autor, który pisze tą czernią, dosyć jest powściągliwy, by zamiast wrzasku jakiejś emogirl wytopić z tej substancji smutek człowieka dojrzałego, który tylko czasami zadeklaruje: *chciałbym mieć prawo jazdy kategorii T/ na czółg*.

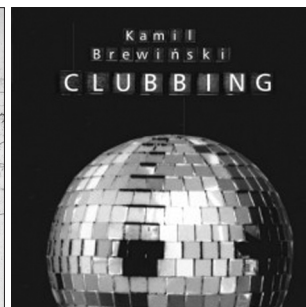
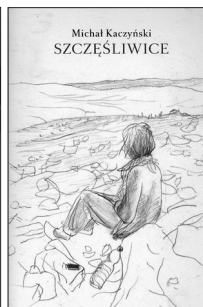
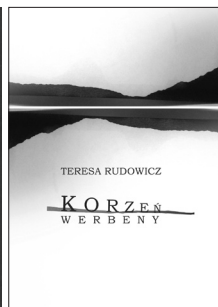
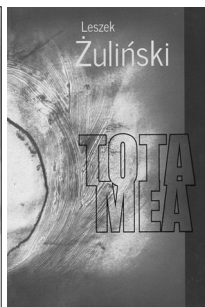
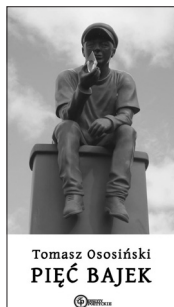
Nie ustatecznił on bynajmniej buntu. Wskazują na to jednoznacznie obydwa wiersze pod tytułami *warszawa płonie*. Pierwszy z nich epatuje rozczarowaniem: *warszawa nie płonie/ dzisiaj warszawa ścieka/ warszawa nie płonie/ i w naszych oczach nic nie płonie*. Drugi ustala źródło ewentualnego ognia: *polski koncem naftowy/ leje/ na was, a dalej w formie litanijnej następują uzasadnienia dla tego smutnego stanu rzeczy* (np. *bo ma odbyć pełen kabli spółki córki*).

Tytuły wierszy są najczęściej geograficzne, przywołujące ulice i dzielnice, zaś we wszystkich tych miejscach dzieje się równie źle (*osobowy przez obrzeża tłuszczał/ śnieg sypie powoli i czernieje w locie*). W związku z tym aż dziwi konkluzja, pojawiająca się w wierszu o pocałunku: *to miejsce jest erogenne/ nazywa się warszawa, / to takie dziwne miejsce*.

Kaczyński przejawia także wyraźne zamiłowanie do cytatu. Jeden z jego wierszy zaczyna się zaczerpniętym ze Świetlickiego zwrotem *nie idź do pracy*, inny bierze z Gałczyńskiego tytuł *ulica Towarowa* i współcześnie przedwojenną puentę: *a kiedy (...) księżyc, co był nad fontanną, za apartamentowcem schował/ rządz, służem i kurzem centrum arkadia/ rośnie i boli*.

Uwagę bardziej wysezonowanego czytelnika może ponadto zwrócić uwagę fakt, że co niektóre wiersze Kaczyński publikował był już dawno temu. W nowym kontekście sprawdzają się one jednak całkiem dobrze, a *Szczęśliwice* to tomik spójny i jednolity. Do tej jednolitości dobrze pasują ołówkowe ilustracje autorstwa Wilhelma Sasnała.

O **Clubbingu** **Kamila Brewińskiego** szerzej napiszę niebawem w „Waka-



cie”, tu więc umieszczę tylko kilka skrótowych uwag. Po pierwsze i bez wątpliwości – książka jest dobra. Po drugie – jest to jakość nieco perwersyjna, gdyż dobre wiersze powstają z nader podejrzanego materiału słownikowego, pozwalającego podejrzewać liryczny kicz. A jednak poszczególne wiersze bronią się mimo rażącego nadużycia leksemów, takich jak „róża”, „woda” albo „lustro”: *oddal oko od wody w której płynie róża/ lub okno uchyl zanim zapomnisz o rżesach/ pamiętaj nim zaśpiewasz – to bezwonna róża/ pod sufit twoje ciało wypiętrzy jak ziemia*. Sprawia to takie wrażenie, jakby debiutant eksperymentalnie udowodniał bezsens, czy choćby tylko porażającą względność kulturowych filtrów, pisząc wiersze, które nie mogłyby się zdarzyć, gdyby te filtry traktować poważnie.

Gdyby się zastanowił, to gdzieś w tle czai się jeszcze dyskusja z modnym pojęciem kampu. Odnoszę jednak wrażenie, że centralna dla niego kategoria kiczu tudzież gorące dyskusje, czy ma on być świadomy, Brewińskiego niespecjalnie obchodzą. Sytuacja wygląda tak, jakby pisał on niezależnie od kultury, która te kategorie wprowadziła.

A pisze on efektownie, z ostentacyjną dbałością o formę, niby jakiś pijany uczeń Iwaszkiewicza. Tak oto wyczelował wiersz pod tytułem *Karaluch*: *do lez najeść się sobą by zebrać się w sobie/ żeby jeść już od we-wnątrz to co z nas zostało/ tropić każdą myśl zjadąc i prosić o więcej/ ponieważ się należy ponieważ za darmo*. Po więcej takich perełek odsyłam do tomi-ku, po więcej komentarzy – do „Wakatu”.

Paweł KOZIOL

Tomasz Ososiński *Pięć bajek* Wydawnictwo „Zeszyty Poetyckie”, Gniezno 2012
Leszek Żuliński *Tota mea* Zautek Wydawniczy Pomyłka, Szczecin 2013, ilustracje **Teresa Babińska**
Teresa Rudowicz *Korzeń werbeny* Zautek Wydawniczy Pomyłka, Szczecin 2013
Michał Kaczyński *Szczęśliwice* Raster, Warszawa 2012, ilustracje **Wilhelm Sasnał**
Kamil Brewiński *Clubbing* Hub Wydawniczy Rozdzielczość Chleba, Kraków 2013